

Zwierzęta jako atrakcja turystyczna kulisy biznesu

Kochamy zwierzęta, a przemysł turystyczny bezwzględnie to wykorzystuje. Żeruje też na ludzkiej naiwności, nieświadomości i miłości do robienia zdjęć. Uwaga: to długi wpis i są w nim opisane drastyczne sytuacje.

Turystyka przyrodnicza jest branżą wartą 250 miliardów dolarów rocznie. Ale te zyski nie przychodzą bez kosztów. Zwierzęta, które uwielbiamy robić sobie selfie, z którymi współpracujemy, na których jeździmy i na które patrzymy, często są kradzione na wolności, a ich rodziny zabijane są przy tym. Następnie resztę życia spędzają za kratkami w ogrodach zoologicznych i parkach rozrywki lub wykorzystywane do celów rozrywkowych.

Aaron Gekoski

fotograf dokumentujący przez 4 lata branżę turystyki i dzikiej przyrody

Tygryszek do przytulenia

Przemysł turystyczny wykorzystuje miłość ludzi do zwierząt by zrobić biznes. Ma też dobre usprawiedliwienie: musimy poznać te zwierzęta, by je pokochać i chronić. Tyle, że to miłość toksyczna. W "Tiger Temple" w Tajlandii mnisi prowadzili ośrodek z tygrysami. Słowa "świątynia" i "mnisi" budzą zaufanie. Tygrysów jest coraz mniej, dobrze, że je chronią. Chronią? Wolne żarty! Maluchy odbiera się matce, gdy mają 2 tygodnie (na wolności żyją z nią 2 lata) i od tej pory co dzień służą jako żywe maskotki.

Jedną z atrakcji jest karmienie z buteleczki tygrysa (choć jego matka miała pokarm). Ile takich buteleczek dostaje maluch? Przez kilka godzin rano i kilka po południu, aż z przejedzenia mleko mu się ulewa. Ale karmienie jest płatne dodatkowo, więc dobro tygrysa przegrywa z dobrem pomnażania dochodów przez świątynię. Gdy dorosną mają dwie ścieżki kariery: zostaną, by na łańcuchu pozować do zdjęć, lub zostaną sprzedane na potrzeby wyrobów "tradycyjnej medycyny azjatyckiej". Kupując bilet do Tiger Temple, płacąc za zdjęcia z tygrysem i karmienie maluchów - Turyści utrzymywali lukratywny biznes, który z dobrem zwierząt nie miał nic wspólnego.

To miejsce - po serii protestów na całym świecie - w końcu zostało zamknięte. Ale obecnie w USA żyje około 10 000 (tak, dziesięć tysięcy) tygrysów w prywatnych hodowlach, gdzie właściwie każdy może je kupować, rozmnażać i sprzedawać. Zdjęcie lub przytulenie z wielkim kotem kosztuje 10-100 USD, trzygodzinna wycieczka i trzymanie tygrysa - ok. 700 USD (więcej w artykule NG Tygrysy jako sposób na biznes w USA)

"W Tajlandii Nela odwiedza schronisko dla tygrysów. Mała reporterka opowiada o życiu tygrysiątek, pokazując, jak się bawią i jak należy się nimi opiekować. Widzowie zobaczą też Nelę pomiędzy młodymi tygrysami w ich klatce." TVP, opis odcinka "W krainie tygrysów"

Żeby była jasność: za to, że Nela mała reporterka zaszczepiła dziesiątkom tysięcy polskich dzieci marzenia o mizianiu dzikich zwierząt odpowiada nie ta dziewczynka, tylko dorośli. To oni decydowali o treściach do programu i książkek. I robili to kierując się marketingiem, a nie dobrem zwierząt. Gdy Wojciech Szczęsny pokazał jak prowadzi tygrysa na łańcuchu (zdjęcie z tego samego ośrodka w Tajlandii), zebrał dziesiątki tysięcy lajków. Wpływ celebrytów na popularyzowanie takich atrakcji jest gigantyczny.

Spacerując z lwem

Elsa była pierwszym lwem wychowanym przez ludzi, którego udało się przywrócić naturze. Było to możliwe m.in. dzięki codziennym, wielogodzinnym spacerom po buszu razem z Georgem

Adamsonem. Tę historię spopularyzowała książka "Born Free" ("Elza z afrykańskiego buszu") na podstawie której powstał film. Część z was mogła też trafić na książkę "Tańczący z lwami", w której Tony Fitzjohn opisuje jak od Georga uczył się przywracać lwy naturze. Długie spacery były ich częścią.

Do masowej wyobraźni przebiło się hasło "spacer z lwem" = "super przygoda + pomoc naturze". Tak narodził się kolejny biznes, gdzie lwy przez pierwsze dwa lata życia spacerują z turystami (godzinę, w asyście filmowca i fotografa), a gdy dorosną i mogą zaatakować, sprzedaje się je na polowanie. Co roku setki lwów są zabijane w "canned hunting" czyli na ogrodzonym terenie, gdzie prowadzi się myśliwego na jego wielką (i kosztowną) przygodę zakończoną zdjęciem z trofeum. O spacerach z lwami pisałam na blogu ("Spacer z lwem - nieetyczny biznes"), ośrodek Lion Encounter z pod wpływem krytyki mienił formułę i oferuje teraz obserwowanie stada lwów przez siatkę, w miejscu gdzie się je dokarmia. Takie nieco inne zoo, w okazyjnej cenie 120\$ od osoby.

"Grupy są zbyt duże, lwy nie są zadowolone z tego, co muszą robić. Chciały siedzieć w cieniu, ponieważ było około 36 stopni. W tym momencie jeden ze strażników podniósł kij nad głowę, wskazując, by uderzyć samca, gdy ten nie chciał wstać. Widać było po strachu w reakcji lwa, że najwyraźniej został wcześniej uderzony tym kijem. W naszej grupie lew pokazał kilka razy, że nie chce iść, nawet ryknął kilka razy i po prostu był szturchany, aby szedł dalej.

Nie da się wytresować zwierzęcia, by bało się drewnianego kija, chyba że kojarzy jego widok z bólem. Ten kij nie był używany do dostarczania pożywienia, był wyraźnie używany do bicia lwów." Lion Walk, Fathala, Senegal, relacja ze spotkania

Na słoniu jak Staś i Nel

Gdy byłam dzieckiem była to dla mnie ikona egzotycznej przygody. Więc pierwszą rzeczą jaką zrobiłam w Indiach (1992 r.) była rzecz jasna jazda na słoniu. A potem jeszcze raz, bo przecież pomagam utrzymać się temu zwierzęciu, wszak w Azji nie ma już wolnych słoni. Nie ma? Ależ są, oczywiście, że są, choć coraz mniej. Między innymi dlatego, że łapie się je, do wożenia turystów. To znaczy trzeba złapać małego, bo tylko taki da się wytresować. Słowo „łapie” w rzeczywistości oznacza zabicie matki, bo która matka odda dobrowolnie swe małe?

Potem zamyka się malucha w ciasnej klatce gdzie nie może się ruszyć, bije, głodzi, pozbawia snu, szpikulcami kłuje wrażliwe części ciała, aż przestanie reagować. Podda się i zrozumie, że człowieka ma się bać i być mu posłusznym. Do końca życia pozostaje mu robienie sztuczek (huśtawka z trąb dla turysty do zdjęcia lub pokazy zręczności i siły) oraz wożenie turystów. Te zbyt stare, poranione, niekiedy trafiają do prawdziwego sierocińca, ale to znakomita mniejszość.

Słoń z trąbą do góry ma przynosić szczęście i wygląda jakby się uśmiechał, ale powodów do radości nie ma. Wskutek wielu kampanii w Azji zorientowano się, że Europejczycy i Amerykanie coraz częściej nie chcą jeździć na słoniach. Podzielono więc niektóre ośrodki na dwa: w jednym "elephant camp" jeździ się na słoniach, w drugim "sanktuarium" są te "uratowane". Co miesiąc robi się wymianę słoni między ośrodkami. Biznes kręci się fantastycznie.

Samobójstwa delfinów

Uśmiechniętym delfin nas rozczula. To ich anatomiczny układ oblicza, z prawdziwymi emocjami nie mający nic wspólnego. Bo w delfinariach te stworzenia powodu do uśmiechu nie mają. Brutalnie odławiane od stada, trafiają do więzienia z wyrokiem dożywocia. Głodzone w końcu zaczynają współpracować. Na jednego delfina w delfinariu przypada kilka innych zabitych podczas polowania. Traumą malucha (bo do pokazów i tresury pływania z ludźmi wybiera się młode osobniki) pogłębia fakt, że to zwierzęta o silnym instynkcie socjalnym: stado to ich rodzina, w delfinariu zastąpione przez przypadkowe osobniki. A do tego zwierzęta, na wolności

przepluwające po 160 km, nurkujące do 300 metrów dostają do dyspozycji kilku(nasto?)metry basen. Za płytki, za ciepły, z chemikaliami i hałasem (a to zwierzęta o bardzo wrażliwym słuchu).

Z uśmiechem pozują do zdjęć w nienaturalnej pozycji na brzegu basenu, wiele z nich z tym samym uśmiechem popełnia samobójstwa. Bo delfiny oddychają świadomie - gdy życie staje się nieznośne, po prostu kolejnego oddechu nie biorą. W niewoli żyją przeciętnie 6 lat (na wolności - 26 lat). Wiedząc o tym, rozrywka przestaje być niewinną wakacyjną przygodą. - To nie tak, dzieci muszą dotknąć, zobaczyć, by pokochać i potem chronić. – tłumaczy mi znajomy. Hm, eksterminacja rodziny, by pozyskać żywą maskotkę? To karkołomne rozumowanie.

Ric O'Barry, który łapał i tresował delfiny m.in. do filmu "Flipper" w wielu wywiadach mówił, że 10 lat tresował delfiny. Kolejnych 40 lat spędził na walce z delfinariami i odkupieniu swych win wobec tych zwierząt.

Woluntaryzacja czyli wolontariat + dzikie zwierzęta

Jeśli ktoś oferuje ci wolontariat, gdzie bez fachowej wiedzy (np jako weterynarz) możesz zajmować się dzikimi zwierzętami, to powinna zapalić ci się czerwona lampka. Bo serio - zwierzęta nie potrzebują naszej miłości i selfie. Natomiast organizacje potrzebują pieniędzy. A część takich organizacji to po prostu maszyny do zarabiania pieniędzy, które w żaden sposób nie pomagają zachowywać zagrożone gatunki.

Za 2 tygodnie karmienia lwiatek w Afryce trzeba zapłacić ponad 2000 USD. Wolontariusze szczerze wierzą, że karmią sieroty (pomagając naturze), nie mając pojęcia (lub nie chcąc wiedzieć), że na tej samej farmie specjalnie rozmnaża się lwy. Maluchy gdy dorosną trafią albo do dalszego rozmnażania, albo będą trofeum na polowaniu. W RPA działa ponad 300 takich farm, na których jest ok. 8000 lwów. W 2024 r. rząd RPA podjął decyzję o zamknięciu takich farm, ale nie wiadomo co teraz zrobić z tymi lwami. A że natura nie znosi próżni, nie zdziwię się jak takie farmy powstaną w innych miejscach na kontynencie.

Zdarzają się etyczne wolontariaty (np. Elephant Human Relations Aid w Namibii), ale nie ma wtedy szans na mizianie dzikich zwierząt i traktowanie ich jak maskotki.

Węże z zaszytymi ustami

Brzmi jak opis z tandetnego horroru? Niestety to rzeczywistość tysięcy węży w Marakeszu. Turyści przybywający na słynny plac Jemma el Fna są oczarowani jego egzotyką. Jedno z obowiązkowych zdjęć to "zaklinacz węży". Miejscowi robią to od setek lat, więc nikt nie zastanawia się, jak wyglądają kulisy tego biznesu. Według raportu opublikowanego w Cambridge University Press w 2016 r. (całość **TUTAJ**) obecnie w Maroku działa co najmniej 86 zaklinaczy, z czego 70 jest w Marakeszu plac Dżami al-Fana. Każdy „zużywa” ok. 40 węży rocznie. Zużywa to paskudne słowo, ale dobrze oddaje sytuację: wąż jest rzeczą na której się zarabia, gdy umrze, zastępuje się go nowym.

A węże umierają w męczarni, bo mają usunięte zęby jadowe (czasem dochodzi do zakażenia) i częściowo zaszyte usta (mogą w nieznacznym stopniu otworzyć paszczę), więc nie mogą jeść. Godzinami przegrzewane, bezustannie dręczone bożcami (nie słyszą muzyki, ale wyczuwają drgania), żyją krótko. Po ich śmierci z natury trzeba odłowić kolejne. I kolejne. Badanie "Snake charming and the exploitation of snakes in Morocco" podaje, iż w ten sposób ginie co najmniej 4500 węży rocznie (z czego zaklinacze w Marakeszu zabijają ok. 3500 węży rocznie).

Zaklinacze zarabiają na turystach płacących za zdjęcia (jeśli zrobisz je ukradkiem to tak jakbyś okradał tych ludzi, i możesz mieć spore kłopoty). Biznes kręci się świetnie.

Robiąc takie zdjęcia, upowszechniając je w social mediach - wspierasz ten biznes.

10 cruelest tourist attractions



Riding elephants



Performing dolphins



Touring civet coffee plantations



Dancing monkeys



Walking with lions



Taking tiger selfies



Visiting bear parks



Charming snakes & kissing cobras



Holding sea turtles



Farming crocodiles

Żywe maskotki

- Boże, niech on uwolnią tę małą - turystka ma łzy w oczach, bo faktycznie, mała jest przywiązana do drzewa. To żywa maskotka hotelu, większość osób po prostu robi jej zdjęcie nie zastanawiając się, że zwierzę po prostu cierpi. Podobnie jak tysiące małych trzymanych na sznurkach na całym świecie: turyści często płacą za takie zdjęcia, więc niby dlaczego pozbywać się prostego źródła dochodu? Na tej samej zasadzie prosperuje "Prison Island" z żółwiami (Zanzibar), boksujące się orangutany (Azja), obwoźne cyrki, każde miejsce gdzie zwierzę jest po prostu atrakcją do zdjęć. Za napędzanie tego biznesu odpowiadają wszyscy: podróżnicy, prasa, foldery, książki. Wszędzie tam zaszczipiane jest marzenie o kontakcie ze zwierzęciem. Skoro znany travelbryta jeździ na słoniu, słynna podróżniczka głaszcze delfina, a mała reporterka przytula tygryski i siedzi na żółwiu (z certyfikatem National Geographic), wierzymy, że nie ma nic złego w tych zachowaniach.

Wolimy się nie zastanawiać skąd biorą się one w niewoli, uspakajając sumienie folderami piszącymi, że urodziły się w klatce i jest im tu bardzo dobrze. Przemysł turystyczny (nazwa przemysł uzasadniona jak najbardziej, co 12 osoba na świecie pracuje w turystyce) zarabia ogromne pieniądze na naszej miłości do przyrody. Sprzedaje nam marzenie, że bliskość ze zwierzętami to kolejny punkt programu egzotycznej przygody, który musimy zaliczyć. O kosztach, jakie za tą "miłość" płacą zwierzęta, po prostu się nie mówi.

Dodajmy do tego pamiątki: wypchane najeżki i żółwie, muszle i rozgwiazdy, wyroby ze zwierząt... Decyzje półtora miliarda turystów co przywiozą z wakacji, mają ogromny wpływ na to, kogo trzeba będzie zabić w tym sezonie.

Dowiedz się więcej

Warto przeczytać:

- „Złamane dusze” - artykuł Katarzyny Boni
- „Zwierz się ze zwierza” - artykuł Julii Lachowicz
- "Czy zwierzęta muszą być atrakcją turystyczną" - artykuł Ewy Malchrowicz
- www.przedeptane.pl/2016/zwierzeta-turystyka/
- www.niedladelphinarium.pl – portal o delfinariach

- „Odpyw w delfinariu” - artykuł Anny Olej-Kobus
- „Tygrysy jako sposób na biznes w USA” - National Geographic
- „Co RPA zrobi z tysiącami lwów z prywatnych hodowli?” - działzagraniczny.pl

Filmy (do znalezienia na YT)

- „Blood Lions”
- „The Last Elephants In Thailand”
- „Zatoka delfinów”
- „Blackfish”
- „Reiwa”
- „Wildlife Tourism Uncovered” Aaron Gekoski (od 18 minuty wstrząsający dokument z Tajlandii)

(c) Anna Olej-Kobus | AfrykAnka.pl

Jeśli ten wpis Ci się przydał, będę Ci wdzięczna za kawę: www.buycoffee.to/afrykanka

Więcej opowieści znajdziesz w moich książkach:

- *Zwierzęta Afryki. Przewodnik na safari*
- *Namibia. Przez pustynię i busz*
- *USA. Droga 66 i Dziki Zachód*

Do kupienia z autografem w sklepie www.namib.pl

*Kupując w naszym sklepie **NAMIB.pl** wspierasz prowadzenie blogów: AfrykAnka.pl oraz TravelNamibia.pl*